TYGODNIK POWIEŚCI.

Nr. 3. POZNAŃ, 19go Października 1878 roku. Rok I.

Prenumerata w Poznaniu i na Prowincyi rocznie 8 marek — półrocznie 4 marki — kwartalnie 2 marki.

Wychodzi co Sobotę w objętości 1 — 1 1/2 arkusza.

W Galicyi wynosi prenumerata kwartalnie 1 złr. 25 cent.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i urzędy pocztowe.

Koleje życia.

Powieść

T. T. Jeża.

(Ciąg dalszy).

Szczególna pozycya! zawołał rzucając się na sofę. Czekajmy... Zagadka musi się rozwiązać. Jakim ja sposobem dostałem się w to nieznajome miejsce?

Zagadka rzeczywiście wkrótce się rozwiązała. Klucz w zamku z zewnątrz się obrócił, drzwi się otworzyły i weszła Dyana.

— Pani! zawołał Endymion, którego zdziwienie doszło kulminacyjnego punktu.

Dyana się uśmiechnęła, usiadła i wezwawszy go skinieniem głowy, ażeby to samo uczynił, podała mu ten sam bilecik, który w nocy posłużył do uspokojenia jéj podziwu. Ten bilecik taki sam skutek wywarł i na Endymiona.

— Więc winienem pani podziękowanie, przemówił pierwszy po odczytaniu pisma.

— Nie samo tylko podziękowanie, odparła Dyana, obok podziękowania, jeszcze i pomówienie seryo. Pan znasz położenie i stosunki jéj i jego, znasz położenie i stosunki moje, ale nie wiesz o jednéj rzeczy. Oto w téj chwili po wszystkich salonach mówią tylko o mnie i o panu. Mnie podziwiają, żem podeptała wszelkie względy przyzwoitości; panu się dziwią, żeś się tak dalece zapomniał. Wyjaśnienie rzeczy wymagałoby rozprawy honorowéj pomiędzy panem a jéj mężem i pomiędzy panem, a moimi opiekunami. Sprawa ta stała się zawikłaną. Pan w ręku swojém trzymasz honor jéj i mój, jéj, mężatki i mój, kobiety, która by już oddawna była mężatką, gdyby nie pan. Pomyśl pan, jaki jest sposób wyjścia z tego zawikłania?

Edymion spuścił głowę, przez chwilę pomyślał i odpowiedział:

— Ten sam, jakiego użył Aleksander Wielki, przy rozwiązaniu gordyjskiego węzła.

Dyana z wyrazem zapytania popatrzyła mu w oczy.

— Proszę panią o rękę.

W rodzaju komentarza do téj rozmowy, dodać potrzeba, że Dyana, bogata sierota bez ojca i matki, znajdowała się pod taką opieką, z którą żartowanie było niepodobnem. Opieka ta przeznaczyła ją na żonę dla Endymiona, który około téj sprawy wymijającym chodził sposobem, licząc na to, że zwłoka inny jakiś nada jéj obrot. Nie chciał się z Dyaną żenić, nie dla tego, ażeby ją miał nienawidzić, ale, że ożenienie odkładał na późniéj, na kiedyś, kiedy stargane siły zmuszą go do bardziéj regularnego żywota. Awantura przyspieszyła tę chwilę. Oto był powód jego oświadczyn.

— Wychodzę więc ztąd, pani narzeczonym.

Dyana skłoniła głowę z uśmiechem.

— Ale, ciągnął daléj, przedtem nim straszne śluby na ślubnym wyrzeczymy kobiercu, muszę złożyć przed panią moje wyznanie wiary. Do ślubów tych nie przywiązuję wielkiéj wagi i nie myślę z nich korzystać w celu ścieśniania w jaki bądź sposób woli pani. Rozumie się, że się spodziewam, że i pani będziesz również moją szanowała wolność.

— Rozumie się, odpowiedziała Dyana, podając Endymionowi rękę, którą ten lekko uścisnął.

Tym sposobem związało się stadło. Salony krzyknęły:

— Endymion się zakochał!...

Gdyby się był zakochał, nie byłoby w tem nic dziwnego. Dyana, chociaż nie była skończoną piękno-

ścią, miała jednakże w sobie coś, co klasycyzm rysów zastępuje. Miała prześliczne czarne oczy, a obok oczów, jeszcze i prześliczne karminowe usta i udatną kibić. W oczach była jakaś głębokość, która jednym wydawała się głębokością duszy, drugim gorączkością uczucia. Zresztą, miała rysy dość regularne i posiadała nawyk wielkiego świata, ten nawyk, który podnosi i uwydatnia wdzięki i zalety i zakrywa niedostatki. Z tych powodów, była jedną z salonowych gwiazd.

Niby przeto nie było w tem, powtarzam, dziwnego, gdyby się w niéj był Endymion zakochał. Posądzenie to jednakże padło na niego niesłusznie. Ale, że padło, więc na razie, po ślubie, nie było innego do odwrócenia go sposobu, tylko usunięcie się na czas jakiś ludziom z oczu. Państwo młodzi przeto wprost od oltarza udali się za granicę. Włóczyli się po Niemczech, Szwajcaryi, Włoszech, Francyi, nawet Hiszpanii. Zwiedzili Alpy, Apeniny, Cewenny, Pireneje i kilka Sierr. Nagromadzili mnóstwo wspomnień i powrócili, po trzech latach, w towarzystwie dziecka płci męzkiéj, Endymionowicza, któremu na imię dali Eliasz. W urodzinach jego to było szczególnego, że powitał świat w Albergo del St. Gottardo.

Państwo Endymionostwo rozstali się. Nie było pomiędzy niemi żadnéj kłótni, żadnéj sceny małżeńskiéj. Wzięli ze sobą ślub; byli sobie przez trzy lata towarzyszami podróży; urodził się im synek: uważali więc, że obowiązkom małżeńskim uczynili zadość.

Rozstali się w najlepszej komitywie. Pan zamieszkał osobno, pani osobno. Spotykali się na salonach i byli ze sobą po przyjacielsku. Niekiedy Endymion zapytywał Dyanę:

— Jakże się tam miewa Eliasz Endymionowicz?

— Rośnie, dostawał odpowiedź.

Widząc ich z boku, zdawało by się, że pomiędzy niemi nie ma nic wspólnego, nic o jakowejś wspólności z sobą nie mówili. Razu jednakże pewnego Dyana zaczepiła Endymiona:

— Chciałabym pomówić z panem o czemś, co nas oboje interesuje zarówno.

— Naprzykład? odparł zaczepiony.

— O wychowaniu naszego syna.

Było to w siedm lat po ślubie, a w pięć po wypadku w Albergo del St. Gottardo.

— Ph... odpowiedział Endymion. Takie mam nieograniczone do pani zaufanie, że jéj całkowicie rozwiązanie téj kwestyi pozostawiam.

Dyana nic na to nie odpowiedziała, tylko z nacieniowanym lekką ironią uśmiechem głową kiwnęła.

— Ileż *sieur Elie* może obecnie mieć lat?

— Pięć...

— Nie życzyłbyś pan sobie widzieć syna? podchwyciła Dyana.

— *Parbleu!* czemu nie! I owszem. Niech mnie kiedy odwiedzi. Tylko, że to pięcioletnie bobo, a ja nie mam lalek dla niego. Niech mu pani ładniutkie bony dobiera, ażeby zawczasu nabierał gustu.

Dyana nie posłała syna do ojca. Wychowywała go sama, jak umiała wśród bon i zbytków. Chłopak wsrastał psuty i pieszczony a delikatny jak dziewczyna.

Dyana kochała swoje dziecko, lecz nie była dobrą matką. Nie umiała syna prowadzić. Roztargniona salonową dyplomacyą i wielko-światowem życiem, zajęta sobą i tysiącem błahostek, mających minę nadzwyczajnie ważnych spraw, zapominała o najważniejszéj, jaką dla niéj była powinność matki. Cała jéj przeto miłość wyrażała się pieszczotami. Ile razy z synem się zeszła, całowała go, głaskała, tuliła do siebie, dowiadywała się troskliwie, czy mu na czem nie zbywa, zasypywała go lalkami, zabawkami i łakociami i nie posiadała się z radości, widząc jak rośnie.

Młody Eliasz rósł, pędzony do góry siłą sztucznego nawozu, jakim dla niego były zbytki, któremi był otoczony. Lata mijały. Z pięciu zrobiło się sześć, z sześciu siedm. Dyana się spostrzegła, że przyszłego spadkobiercę dwóch fortun czas czegoś już uczyć i wzięła do niego guwernantkę.

Pod opieką téj guwernantki spędził Endymionowicz lat trzy.

Niekiedy napadały na matkę Eliasza momenta nadzwyczajnéj o ukształcenie umysłu syna troskliwości, wyrażającéj się tem, że pomnażała liczbę guwernantek. W dwunastym roku miał dwie, w czternastym trzy, w piętnastym cztery; w szesnastym jednakże żadnéj. Dyana się opatrzyła, że chłopak jest już zanadto słuszny, ażeby go płeć piękna umysłowo kształcić miała. Poczęła się rozpytywać znajomych i przyjaciół i poszła za radą jednego, który miał reputacyą uczonego. Ten jéj poradził usunąć młodego człowieka od dystrakcyi stolicy. Usunęła go, ale z nim i siebie. Powiedziała sobie:

— Poświęcę się edukacyi jego. On się będzie uczuł i ja się będę uczyła i wytworzę przez to dla niego emulacyę, która go będzie na drodze nauk naprzód popędzała.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Osiadła w Odessie. Otoczyła syna guwernerami. Sama zaś gromadziła do swojéj głowy wiedzę sposobem chwytanym, to ztąd, to z owąd. Ona to była ową panią, którą Edward wyprowadził z wykładu fizyki popularnéj.

IV.

Kiwnęła przez okno karety Edwardowi głową i odjechała. Edward pozostawszy sam, począł rozmyślać nad wykrzyknikiem: „to pan!“

— Coby to mogło oznaczać? zapytywał sam siebie. Miałażby ona mnie znać? Zkąd znów!

Nie miał siebie za taką osobliwość, ażeby sam nie znając, mógł być znanym, zwłaszcza przez damę bardzo bogatą, sądząc po jéj karecie, koniach i liberyi!

— Co to za pani?

Myślał i głowę łamał i nic nie wymyślił.

— E! musiała się chyba omylić. W takiem zamięszaniu wzięła mnie zapewne za kogoś innego.

Tak sobie ostatecznie powiedział i przestał się trudnić rozwiązaniem zagadki, zawierającéj się w dwóch jednozgłoskowych wyrazach, które razem z pięciu tylko składały się liter, to jest, o jednę więcéj jak wyraz „kiep.“

— Byłbym kpem, gdybym nad takiem myślał głupstwem.

I począł myśleć o czem innem. A miał o czem. Zbliżały się ostateczne egzamina. Zbliżała się epoka pełnoletności.

Egzamina jak egzamina: był z niemi ostrzelany. Na prelekcye uczęszczał regularnie; na prelekcyach notował skrupulatnie; wszystkie papiery miał w porządku — więc o rezultat był spokojny.

Z pełnoletnością działo się trochę nie tak. Nam zdawaćby się mogło, że powinien był być o nią spokojniejszym, niż o egzamina. Kapitalik znajdował się w ręku pewnym; procenta szły w ręce uczciwego stryja; jakiż mógł być niepokoju powód? Edwardowi jednakże zdawało się inaczéj. Ćwiekiem w głowę wlazła mu kalkulacya, którą mu zdać miał stryj — kalkulacya, według niego nadzwyczajnie skomplikowana, bo wymagająca drobiazgowego z szesnastu lat rachunku. Mimowolnie nasuwało mu się do głowy zapytanie:

— Jakim sposobem stryj ten rachunek zrobi?

Pytanie pochodziło ztąd, że nie widział, nie przypominał sobie, ażeby doktór notował wydatki. A ponieważ nie notował, przeto w kalkulacyi przewidywał dowolność, która mu się z góry nie podobała.

— Ta dowolność, mówił do siebie, może być powodem straty albo dla stryja albo dla mnie. Nie chcę ani tego, ani tego: nie chcę stryjowskiego, ale oraz nie chcę ażeby moje przepadło.

To wydało mu się tak słusznem i sprawiedliwem, że napisał do stryja, uprzedzając go o zbliżającym się terminie kalkulacyi i zlekka napomykając o rachunkach z wyraźnym dodatkiem, że: „nie chce stryjowskiego, ale oraz nie chce ażeby jego przepadło.“ Doktór mu odpisał, żeby był spokojny.

Oprócz tych dwóch przedmiotów był jeszcze jeden dający mu dużo, może najwięcéj do myślenia. Przedmiotem tym było:

— Co z sobą zrobię po skończeniu liceum?

O! jakże żałował, że nie poszedł na medycynę.

— Nie miałbym potrzeby głowy sobie łamać.

Skończenie kameralnego wydziału dawało mu do wyboru kilka karyer. Mógł zostać urzędnikiem, nauczycielem, handlarzem, rólnikiem. Którą z tych dróg wybrać? Oczywiście tę, która najdaléj prowadziła. Tu jednakże nastręczało się pytanie: dokąd? Drogi te prowadziły, jedne do zaszczytów, drugie do majątku. Edward chciałby wybrać taką, któraby w sobie łączyła jedno i drugie. Myślał więc, kombinował; nic nie wykombinował i nic nie wymyślił. Przeto rad nie rad, spuścił się na natchnienie; tymczasem zaś robił swoje, jak zwykle, porządnie: dawał lekcye, chodził na prelekcye i gromadził materyały do egzaminów, nie zapominając o czwartkach i niedzielach.

Pewnéj niedzieli, w parę miesięcy po wypadku ze światłem Drummonda, zaszedł do Ottona na śniadanie. Godzina była jedenasta. W obszernéj sali jadalnéj, zastawionéj po środku kilku wielkiemi stołami a po pod ścianami mnóstwem małych na parę osób stoliczków, było prawie pusto. Mówię „prawie,“ bo kilka osób, ginących w przestrzeni, nie pozwalały nazwać jéj zupełnie pustą. Na tych kilka osób składały się: jakaś dama, jakiś młody człowiek i jeden z profesorów siedzący razem w głębi i jakiś suchy, wyrazistych rysów i dość słusznego wzrostu jegomość, siedzący osobno bliżéj ku drzwiom wchodowym. Więcéj nikogo. Edward wszedł, skonił się profesorowi i zajął miejsce przy stoliczku nieopodal od jegomości. Gdy zasiadł, dama zapytała półgłosem profesora czy nie zna tego studenta.

— Jakżebym miał nie znać! odparł zapytany. To jeden z najlepszych i najpilniejszych uczniów, chluba naszego liceum, ktore go wkrótce utraci.

— Utraci? rzekła dama pomału tonem zapytania, przypatrując się Edwardowi.

— Jest na ostatnim kursie. Kończy w tym roku.

— Jak się nazywa?

— Edward Kloc.

— Bogaty?

— Biedny. Utrzymuje się z lekcyi.

— Jakież ma na przyszłość zamiary?

— Hm! nie wiem. Karyera przed nim szeroko otwarta. Jest na kameralnym fakultecie.

— Na tym samym, który pan doradzasz dla mego Eluszy?

Profesor skinął głową na znak potwierdzenia. Dama wciąż przypatrywała się zdaleka Edwardowi, który, schylony nad talerzem, z pewnym rodzajem nabożnego podniesienia ducha wpatrywał się w tylko co przed nim postawiony majonez ze szterleta, podlany prawdziwą prowancką oliwą i ozdobiony po wierzchu płatkami czerwonéj i żółtéj galarety i rzutkami zielonych kaparów.

Do sali po jednéj, po dwie, weszło osób kilka i zasiadło przy różnych stolikach.

Zaledwie Edward był w połowie majonezu, jeden z traktjernianych lokai obiegł wszystkich gości i każdemu z kolei szepnął do ucha:

— Proszę patrzeć na tego pana, tu wskazywał na osobno siedzącego jegomościa, którego Edward zastał.

Zjadł już kopę ostrzyg, trzy porcye majonezów, sześć befsztyków i jeszcze sobie dawać każe.

Rzeczywiście widowisko było w swoim rodzaju wielce zajmujące Nieznajomy jegomość okazywał apetyt niezwykły. Niezważając na nic i na nikogo, zmiatał jedno danie po drugiem i w ten sposób wyczerpnął porządkiem dość długą u Ottona listę całego śniadania, powtórzywszy sobie majonez trzy razy, befsztek sześć razy i przy końcu jakąś rybę, która mu szczególnie smakowała, dwanaście razy.

Jedzenie to zabrało godzin kilka. Przez ten czas sala coraz to bardziéj napełniała się gośćmi, z których jedni wcale nie wychodzili, inni zaś wychodzili i wkrótce potem powracali w towarzystwie kilku osób, widocznie przywołanych w celu pokazania im człowieka nadzwyczajnego apetytu.

Na spisie potraw po śniadaniu następował objad. Nieznajomy jegomość, skończywszy śniadanie, kazał sobie podać najpierwszą z umieszczonych w spisie przedobiednią przekąskę.

— Proszę pana o cierpliwość, rzekł do niego lokaj, który mu usługiwał. Objad jeszcze nie gotów, ale druga nie daleko.

Nieznajomy mruknął coś pod nosem, i wydobywszy piórko z kieszonki od kamizelki począł dłubać w zębach. Po sali gruchnęło, że się zabiera do objadu. Wieść ta wyniosła się na miasto i około drugiéj sala Ottona jeszcze bardziéj się napełniła. Po śniadaniu było pełno, przy obiedzie zrobiła się ciżba. Konsomacya podniosła się do najwyższego stopnia. Przy stołach i stoliczkach miejsca zabrakło. Tylko dwa pozostawały wolniejsze: ten, przy którym siedział nadzwyczajnego apetytu jegomość i ten przy którym siedziała dama z profesorem i młodym człowiekiem. Do pierwszego nie ciśniono się zapewne dla zostawienia wolnych, jak powiadają, łokci niepospolitemu konsomatorowi, do drugiego przez grzeczność dla siedzącéj przy nim damy, która żywo ogólną zdawała się podzielać ciekawość, ale spoglądając na nieznajomego, często puszczała wzrok w kierunku Edwarda.

(C d. n.)

WARYAT.

NOWELLA BRET-HARTE'A.

PRZEKŁAD

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy).

Uczyniwszy to dotknęła ręką kieszeni swego paltota szukając w nim pugilaresiku, książeczki z wizytowemi biletami oraz flakonika; znalazłszy wszystkie te rzeczy na właściwém miejscu, naraz przybrała spokojną zupełnie minę, pańskiéj niedbałości, weszła po stopniach werandy i pociągnęła za rączkę dzwonka u drzwi sieni, jakkolwiek wiedziała dobrze, że jéj nikt nie otworzy.

Odczekawszy jak przystało chwilę, przeszła otaczającą dom werandę i starannemu przeglądowi poddała żaluzie drzwi szklannych, aż wreszcie natrafiła na jedne, które ustąpiły pod naciskiem jéj ręki. Teraz zatrzymała się powtórnie by przy pomocy wielkich szyb kryształowych, odbijających całą jéj zręczną postać, poprawić sobie na głowie zalotny kapelusik. Następnie otwarła drzwi i weszła do środka.

Dom był wprawdzie zamknięty dość długo ale mimo to czuć go było świeżością i niewywietrzałą jeszcze olejną farbą, nie przypominającą w niczem zaduchu pleśni i stęchlizny, właściwéj podobno domom, nawiedzanym przez duchy. Pyszne dywany, jasne obicia, świetne meble nie dawały się żadną miarą pogodzić z sąsiedztwem widma. Z dziecinną ciekawością poczęła piękna dziewczyna przeglądać cichy dom. Początkowo z niezmierną obawą i wahaniem szła z pokoju do pokoju. Ilekroć silniéj zamknęła za sobą drzwi, cofała się zaraz przerażona o kilka kroków by w razie niebezpieczeństwa co najprędzéj módz się ratować ucieczką. Gdy się wreszcie przekonała o swém bezpieczeństwie i zupełnéj samotności, wówczas stała się śmielszą. W jednym z pokojów, największym, stał wazon z bukietem pachnących, snać świeżo zerwanych kwiatów, a co dziwniejsza jeszcze, w karafkach wszędzie była świeża woda. Ta okoliczność zwróciła uwagę panny Nelly na jeszcze jedną rzecz — zdumiewającą W całym domu mianowicie, nie było ni pyłka kurzu, tego najnatarczywszego i najuciążliwszego gościa w Five-Forks. Podłogi i kobierce były widocznie niedawno zamiecione, krzesła i inne meble starannie z kurzu otarte i błyszczące czystością. Jeśli istotnie duch jaki pokutował w tym domu, to jawném było, że duch ten w żadnym razie nie był wzorem innych duchów obojętnym na nieład i stęchliznę. A przecież widocznie nikt jeszcze nie spał w tych łóżkach. Sprężyny foteli, gdy na nich usiadła zgrzytnęły aż pod nieznanym dla nich ciężarem. Drzwi pokoi z powodu świeżości farby i lakieru z ciężkością się otwierały, a mimo ciepła porządku i elegancyi urządzenia oraz licznych ozdób brakło mieszkaniu owéj wygody, owego komfortu, tego uroku domowości, które wywołuje dopiéro zamieszkiwanie i użytkowanie przedmiotów. Panna Nelly przyznała się później, że miała wielką ochotę przewrócić tu wszystko do góry nogami, a powróciwszy już do salonu zaledwie zdołała się oprzeć téj pokusie. Najwięcéj drażnił ją zamknięty fortepian, niemo stojący przy ścianie. Odchyliła go trochę, by wyczytać nazwisko fabrykanta. Potem pomyślała, że

nie zgrzeszyłaby znów tak bardzo, spróbowawszy jego głosu. Uczyniła to i dotknąwszy klawisza, bezwiednie nacisnęła nóżką tuż obok niéj będący pedał. Ale panna Nelly zbyt dobrze grała na fortepianie, zbyt była artystką, by módz się zatrzymać w połowie drogi. — Raz jeszcze dotknęła klawisza, i na ten raz tak silnie, że dom cały, zdało się, zawtórował jéj tymże tonem. Potem zatrzymała się i wytężyła ucho. — Znikąd odpowiedzi! — Puste pokoje zapadły znowu w poprzednie swe milczenie. Wyszła na werandę — dzięcioł tylko kuł dzióbkiem pień drzewa. Ze skalistych sztolni dobiegał głuchy odgłos popychanych taczek. Jak okiem zasięgłeś — nikogo! Panna Nelly powróciła uspokojona do salonu. Znowu dotknęła ręką klawiszy, zatrzymała się, zamyśliła nad melodyą, która przemykała w jéj sercu w téj chwili, zagrała jéj początek, a wtedy zapomniała już o wszelkiéj ostrożności. Nim jeszcze upłynęło pięć minut nic nie wiedziała już o wszystkiem, co ją otaczało: podróżny paltot spadł z jéj ramion, słomiany kapelusz leżał na fortepianie; białe rączki były bez rękawiczek, jeden z ciężkich jéj warkoczy opadł i poprzez ramiona sięgał aż do ziemi a ona puściła się na falę tonów...

Może grała tak z pół godziny; ostatnie dźwięki jakiejś posągowéj symfonii zaledwie przebrzmiały; ręce jéj spoczywały jeszcze na klawiszach; nagle z zewnątrz dobiegło jéj ucha huczne brawo, które nie sposób było wziąć za inny odgłos. Płomienie wstydu i oburzenia zalały twarz jéj; powstała od fortepianu i znalazła się przy oknie w chwili właśnie gdy z jaki tuzin błękitnych i czerwonych bluz znikał po za drzewami.

Postanowienie panny Nelly zostało natychmiast powzięte. Zdaje mi się, żem to już wspomniał, iż pod wpływem wewnętrznego wzburzenia nie brakło jéj nigdy odwagi i gdy niedbale włożyła znów kapelusz, paltot i rękawiczki, nie była to już trwożna dzieweczka, ale kobieta, którą spotkać samą nie życzyłbym niedoświadczonemu, zakłopotanemu, nieśmiałemu członkowi mego rodzaju. Spuściła wieko fotepianu i pozamykawszy starannie wszystkie drzwi i okna, a dom cały przyprowadziwszy znów do dawnego stanu nieruchomości i osamotnienia, zeszła po wschodach werandy i udała się niezwłocznie do chaty nie przeczuwającego nic Hawkinsa, któréj komin sterczał z poza zarośli. Drzwi otwarły się zaraz na jéj zapukanie i „waryat“ Five-Forksu stał przed nią...

Panna Nelly nigdy przedtem nie widziała człowieka, któremu nadano ten bynajmniéj nie pochlebny przydomek, i gdy tenże w części przez grzeczność, w części zaś z zadziwienia cofnął się o kilka kroków, dziwnie była pomięszaną. Był on wysoki, smukły jak topola i miał ciemną brodę. Po nad zapadłemi nieco cierpieniem i troską policzkami świeciła para bardzo wielkich, bardzo łagodnych ale niewymownie smutnych, tęsknych sarnich oczu. Nie takiego człowieka spodziewała się zobaczyć panna Nelly; dziwnym sposobem wszakże okoliczność ta właśnie, gdy ją minęło już pierwsze zmięszanie, zwiększyła jeszcze jéj niechęć i zakłóła zranioną jéj miłość własną. Niemniéj przeto obłudnica, szybko, jak to umieją kobiety, przejrzawszy sytuacyę, zmieniła front swéj taktyki.

— Przychodzę tu, — rzekła z uwodzicielskim uśmiechem, który był stokroć niebezpieczniejszym niż jéj poprzednia pełna godności surowość, — przychodzę tu przeprosić pana za wielką śmiałość, któréj się dopuściłam. Jak mi się zdaje nowy dom leżący tam, na wzgórzu należy do pana. Zewnętrzność jego podobała mi się tak bardzo, że na chwilę pozostawiłam na dole moje przyjaciółki; — (przy tych kłamliwych słowach uczyniła ręką poruszenie, mające oznaczać, że cały zastęp amazonek, nie znających co to trwoga, stoi w odwodzie i gotów jest pomścić każdą zniewagę, jednéj z sióstr ich wyrządzoną) — i poważyłam się doń wejść. Ponieważ, jak mi powiedziano, dom był niezamieszkałym, byłam tak śmiałą niestety, że siadłam do pańskiego fortepianu i grałam na nim, — czekając na moje towarzyszki.

Hawkins podniósł swe piękne oczy i popatrzał na nią. Zobaczył przed sobą śliczną dziewczynę, któréj jasne, przezrocze szare oczy błyszczały wzruszeniem, któréj twarzyczka bladym owiana rumieńcem pod jego wzrokiem nieco zapłonęła, któréj szkarłatna zwierzchnia warga wykrojoną była jak listek róży i odchylona ukazywała rząd drobnych białych ząbków, gdy ją podnosił przyspieszony nieco w skutek nerwowego wzruszenia oddech. Zauważył to wszystko spokojnie, chłodno, był wprawdzie cokolwiek zaambarasowany jak wszyscy pustelnicy ale puls bynajmniéj nie uderzał mu spieszniéj jak zwykle.

— Wiem o tem, — odparł z prostotą, — słyszałem panią przechodząc tamtędy.

Pannę Nelly doprowadzały do rozpaczy jego gramatyczne błędy, akcent, jego chłodne obejście, przedewszystkiem zaś wzmianka, że i on był w liczbie uczestników niewidzialnéj klaki.

— Ach, — odpowiedziała wciąż jeszcze się uśmiechając, — w takim razie i ja również słyszałam pana.

— Bardzo wątpię, — przerwał jéj poważnie. Byłem tam bardzo krótko. Gdym dostrzegł, że nasi chłopcy krążą koło domu chciałem wejść i przestrzedz panią; ale przyrzekli mi wszyscy, że zachowają się cicho, a taką im przyjemność sprawiała gra pani, tak byli w niéj zasłuchani, że nie miałem odwagi im przeszkodzić i odszedłem. — Spodziewam się, — dodał z całą powagą, że nasi chłopcy nie popełnili żadnego głupstwa. O, bo to wcale nieźli ludzie te nasze hultaje z kopalń „Blazing Star;“ czasami tylko są trochę za śmiali ale nie zrobiliby nic złego i kotowi nawet.

Pan Hawkins przy tych słowach zarumienił się; przyszło mu na myśl, że to porównanie nie było zbyt grzecznem.

— Nie! nie! — zawołała panna Nelly i naraz poczuła dziwne niezadowolnienie z siebie, z waryata i z całéj w ogóle męzkiéj ludności Five-Forks. — Nie, zdaje mi się, żem postąpiła bardzo niedorzecznie i gdyby mnie wyśmieli, byłoby to całkiem sprawiedliwie. Ale chciałam się tylko usprawiedliwić z mego czynu przed panem. Zastaniesz pan wszystko tak jakeś zostawił. — Żegnam pana.

Postąpiła ku drzwiom chcąc odejść.

Pana Hawkins zakłopotało to niezmiernie.

— Byłbym panią prosił siedzieć, — wymówił wreszcie, — gdyby ten pokój był odpowiedniejszym do przyjęcia damy. Wszakże mimo że takim nie jest, powinienem to był uczynić. Nie wiem doprawdy dla czegom tego nie uczynił. Ale byłem cokolwiek słaby, pani; czasami doznaję dziwnego jakiegoś, nieokreślonego bólu. — Wina to powietrza kopalń, jak sądzę; a w takich razach tak mi trudno jest zebrać myśli!

W jednéj chwili panna Nelly stała się uosobionem współczuciem — wrażliwe jéj serce kobiece objął magnetyczny płomień litości.

— Czy nie mogłabym — czy nie możnaby coś na to poradzić? spytała daleko nieśmieléj niż poprzednio.

— Nie! — ale może pani wiesz jak trzeba zażywać te pigułki?

Pokazał jéj pudełeczko, na dnie którego leżało sześć pigułek.

— Zapomniałem jak je zażywać należy. — W ogóle w tych czasach stałem się tak strasźliwie roztargnionym — są to roślinne pigułki Joné'go. Jeśli je pani zażywałaś kiedy, mogłabyś mi pewnie powiedzieć, czy zwykłą

ich dozą jest ośm. W tem pudełku wprawdzie jest sześć tylko. — Ale możeś ich pani nie zażywała nigdy, — dodał zmięszany.

— Nie, — odpowiedziała lakonicznie panna Nelly. Miała ona wzrok bystry zawsze na wszystko, co było śmiesznem: dziwne obejście pana Hawkins wszakże nie wiedzieć czemu dotknęło ją boleśnie.

— Czy pozwolisz mi pani odprowadzić się do podnóża pagórka? — spytał po nowéj męczącéj pauzie.

Panna Nelly poczuła natychmiast, że przyjęciem téj propozycyi oczyści się w oczach Five-Forksjanów z zarzutu nieprawnego wdarcia się do domu Hawkinsa. Może spotkają którego z nieznanych wielbicieli jéj muzyki — lub którą z towarzyszek — a mimo wszystkie fantastyczne wybryki była to natura czysto kobiéca, niepomiatająca żadną miarą prawami zwyczajów. Uśmiechnęła się wdzięcznie i przyjęła propozycyę; w parę minut później zniknęli już w cieniu lasu.

Pozornie drobne, nic nie znaczące zdarzenia, częstokroć wywierają wpływ potężny na życie pozbawione wypadków; tak i tutaj. Jak panna Nelly przewidywała tak się też stało. Spotkali kilku jéj klakierów, którzy, jak się jéj zdało, strasznie głupie zrobili miny na ich widok; napotkali następnie jéj przyjaciółki, które niepokoiły się już o Nelly i ogromnie były zdziwione znajdując ją w takiem towarzystwie, a które, jak tego było pewną, zazdrościły jéj nieco nawet tego pozornego tryumfu. Obawiam się, że panna Nelly, odpowiadając na ich troskliwe pytania nie trzymała się zbyt ściśle prawdy, ale nie kłamiąc rzeczywiście, pozwalała im domyślać się, że w początkowém stadium swéj wędrówki, napotkała tego olbrzyma o miękkiém sercu, ujarzmiła go i zmusiła do zgięcia przed nią kolana.

(C. d. n)

Jakób de Trévannes

przekład z francuskiego

F. W.

(Ciąg dalszy).

DRUGA CZĘŚĆ.

Historyą życia Jakóba de Trévannes możnaby ująć w kilku słowach.

Wysłany w młodym wieku do szkół w Paryżu, zapoznał się tam z Ryszardem Fourchamp, synem zbogaconego kupca. Niezaprzeczenie z powodu różnicy usposobień, szczerze obydwaj się zaprzyjaźnili. Doszedłszy do mezkiego wieku, przyjaźń ich z lat dziecinnych stała się trwalszą. Temperamentu energicznego, popędliwego, awanturniczego, Ryszard wyszedłszy z Saint-Cyr, poświęcił się karyerze wojskowéj. — Jakób zimny, marzyciel, pracowity, pojechał zwiedzić uniwersytety niemieckie, które był opuścił dopiero w chwili swego wyjazdu do Persyi. Skoro ztamtąd wrócił, Ryszard przyjechał do Genewy, aby go zobaczyć, później zabrał go z sobą do Paryża — gdzie za doznaną u niego gościnność w Szwajcaryi, chciał mu się odwzięczyć w swoim domu przy ulicy śgo Dominika, który zamieszkiwał wraz ze swoją siostrą. Genowefa Fourchamp w 19tym roku swego życia postradawszy rodziców, została dziedziczką ogromnéj fortuny, zdwojonéj, w czasie jéj małoletności. — Obdarzona dobrym charakterem, wychowaną była przez ciotkę próżną i zalotną kobietę, która w niéj tylko dumę wykształcała. Zepsutą fałszywem wychowaniem, zawcześnie i prawie jak dorosłą wtajemniczoną w burzliwy ruch towarzyskiego życia, łatwo można było brać za jedną z tych misses amerykańskich, których wolny sposób życia tak się bardzo różni od naszych zwyczajów. Zanadto majętna, aby jéj nie schlebiano, Genowefa Fourchamp doszła do podziwiania jednéj tylko rzeczy na świecie: to jest swéj ładnéj osóbki, któréj wszystkim zachciankom dogadzała. Na Jakóbie przyzwyczajonym do rygoryzmu genewskiego, zrobiła ona wrażenie niemiłe. Jednakże ujęty niewiadomem jakiemś współczuciem, nie mógł się oprzeć pewnemu pociągowi, rozmyślając nad smutnem opuszczeniem, które w niéj taką czczość wyrobiło. W długich serdecznych pogadankach Ryszarda i Jakóba trudno było uniknąć aby imię Genowefy nie było często wspominane. Ryszard kochał siostrę, lecz nadto widział jasno, by nie obawiać się wpływu jaki na nią ciotka wywierała.

— Wiesz co, rzekł pewnego razu do Genewczyka, znam tylko jeden sposób ratunku dla tego biednego dziecka, to jest, dać ci ją za żonę.

Myśl ta wydawała się tak dziwaczną Jakóbowi, iż tylko wybuchem śmiechu na nią odpowiedział; ale słowa te na wiatr rzucone, będące li żartem zamieniły się w krótce u Ryszarda w poważny zamiar. Jakób był mężem jakiego sobie wymarzył, znał jego stały umysł, prawy i poświęcający się charakter, sądził, że cierpliwy, ufny w swoje siły, potrafiłby rządzić tem fantastycznem usposobieniem, przerobić to zbłąkane serce. Jakób odrzucał daleko myśl małżeństwa, tak niestósownego ze względu na swoje skromne położenie, zważając nadto różnicę ich narodowości. Naglących argumentów nie brakowało jednakże Ryszardowi; majątek Genowefy miał być pewniejszym pod opieką Jakóba, którego znał na wskroś, niż pod zarządem kogoś innego.

Hrabina de C... daleka krewna rodziny de Trévannes, a nadto zaprzyjaźniona z rodziną Fourchamp, przedsięwzięła, przekonana przez Ryszarda, dopomagać mu w jego zamiarze. Przywołany przez nią ojciec Jakóba, przyjechał do Paryża; i ostatecznie namówił syna. Genowefa należała już do spisku. Trévannes było piękne nazwisko a prosty, uczciwy szwajcar, zdawał się być łatwym do pokierowania. — Z tego małżeństwa całkiem z interesu zawartego Jakób spodziewał się doczekać szczę-

ścia. Pobrali się. Tego samego wieczoru młoda para wyjechała do zamku posiadłości Genowefy położonéj w prowincyi Touraine. Dla każdéj młodéj dziewczyny kryje się w tym wielkim wypadku życia, urok nowości położenia, upojenie wolności. Wyrwana opiece ciotki, Genowefa szczęśliwa i dumna wsparta na ramieniu Jakóba, odwiedzała swych dzierżawców i sąsiadów. Ośmielona poważnym a łagodnym uśmiechem męża, przyjmującego wszystkie jéj kaprysy z pobłażliwością kochanka, zachwycona samowładnem panowaniem nad tą siłą, któréj dumną wyższość sama uznawała, bawiła się z nim w tę zachwycającą grę pustéj nowicjuszki, chciwéj doświadczyć swéj władzy. Jakób sądził, że z czasem osiągnie pewną przewagę nad ładną swawolnicą.

Oczekiwano ich w Genewie u ojca Jakoba. Genowefa pierwsza zaproponowała wyjazd. Nie znała Szwajcaryi, a potem podróż ta miała dla niéj urok nowéj rozrywki.

W Glycines przyjęto ją z tkliwą otwartością: pan de Trévannes, aby ją uroczyście przyjąć starał się być nadskakującym jak za swoich młodych lat; Urszula spustoszyła oranżerye, aby ozdobić jéj pokój. Jednakowoż po kilku dniach zwiedzania okolicy, Genowefa wkrótce czuła się znudzoną. Prosty i skromny sposób życia rodziny de Trévannes wydawał jéj się jednostajnym; starzy przyjaciele sprzykszyli się jéj, czuła się nie swoją w tym purytańskim domu. Przed końcem drugiego tygodnia wspomniała o powrocie do Paryża. Młode małżeństwo zajęło wspaniały dom przy ulicy śgo Dominika, opuszczony przez Ryszarda, który udał się do swego pułku. Pani Grandmetz powitała siostrzenicę z uniesieniem. Genowefa pokazywała się wszędzie z Jakóbem, będąc z niego dumną, zawsze w najwspanialszéj toalecie, oczarowana, że może biegać do małych teatrów, kosztować wreszcie tych zakazanych przyjemności, których każda młoda mężatka tak pragnie, a które wydają jéj się wejściem w kraj niezależności kobiecéj. Nadeszła zima z szeregiem światowych zabaw. Dumna swojem powodzeniem, Genowefa należała do każdéj; wizyty, bale, następowały po sobie bez przerwy. Jakób próbował oprzeć się temu prądowi, ale było to walką przeciw szaleństwu. Powoli ciotka odzyskała swe wpływy; zdrowemu rozsądkowi męża, przeciwstawiała swoje rady, pochwały i pochlebstwa.

— Zostań pan w domu powiedziała mu pewnego wieczoru, kiedy robił ostatnią próbę, ja wystarczę dla towarzystwa méj siostrzenicy!

Przekonał się wtenczas, że napróżno liczył na serce Genowefy. Wychowanie jakie odebrała, paraliżowało nawet wpływ serca. Z początku cierpliwy do słabości, wkrótce przestraszył się, widząc swoją żonę przejmującą excentryczny sposób brania modnych lwic, stworzonych na to, aby wypełniać dziennikarskie kroniki. Rozgniewany tym ubliżającym rozgłosem, musiał temu zapobiedz, aby nakazać szacunek należny jego nazwisku, wymienionemu w kilku skandalicznych pismach. Przedstawienia w tym przedmiocie doprowadziły tylko do boleśniejszego zawodu, do wymiany gorzkich oskarzeń, po za któremi nie ma powrotu. Zniechęcony, zmęczony temi walkami, Jakób widział przed sobą tylko przyszłość bez nadziei; wybuchły gorsze sprzeczki. Genowefa żyła osobno. Pani Grandmetz zdobyła się nawet na oświadczenie, że żona jego używa przywileju wolności, należnego jéj majątkowi. Stał się w własnym swoim domu ledwo znośnym gościem. Pod ciężarem gnębiącego położenia, unicestwiającego go jako męża, Jakób czuł jak godność jego coraz więcéj upada, a w rozbiciu swych nadziei, zastanawiał się nad swoją przyszłością, swojemi zniweczonemi marzeniami i nie mógł już odzyskać napowrót téj siły i woli, które stanowiły niegdyś jego dumę i męztwo.

Pewnego wieczoru Genowefa mając iść do opery, przyszła do obiadu ubrana w sukni tak mocno wyciętéj, że całe ramiona prawie były odkryte; Jakób nie mógł powstrzymać się od zadziwienia.

— Spodziewam się, że tak ubrana nie pójdziesz do teatru? rzekł zimno.

— Dla czego? . . . . . odparła pani Grandmetz niegrzecznie. Chciałbyś pan przypadkiem zmienić modę?

— Jeżeli taka jest moda u panien, mam przynajmniéj pretensyą zakazać jéj, kobiecie noszącéj moje nazwisko.

— Pana nazwisko? zawołała bezczelnie pani Grandmetz, na mnie teraz koléj mój łaskawy panie, spodziewam się, że dostatecznie panu za nie zapłacono.

Na tę obelgę podskoczył na krześle, wlepił wzrok w Genowefę, wytrzymującą jego spojrzenie z głową do góry wzniesioną, najmniejszem wzruszeniem nie zmieniając rysów swéj pięknéj twarzy. — W godzinę potem Jakób opuścił mieszkanie.

Bywają zamglone położenia, które się zataja o tyle przez skromność, o ile przez wstyd, choćby tylko dla pokrycia ich przed gadaniną świata, jego ciekawością i obmową. Przez kilka dni w Roc milczał, po co miał odkrywać swoje niedole, wyjawiające związek na przyszłość zerwany z kobietą, któréj nie miał zobaczyć więcéj? — Nie byłoż by to bowiem oskarzaniem jéj, lub siebie samego? . . . . .

Zwierzenia Jakóba były uderzeniem piorunu dla Aurory. Słuchała drżąca opowiadania o związku niweczącym jéj szczęście. Rozpacz nurtowała jéj duszę. Jakób miał żonę, a więc radosna przyszłość ugruntowana na jego miłości nagle upadła, czuła się prawie jakby pogrzebaną w swem nieszczęściu. Boleść jéj, podwajała się boleścią Jakóba i zapominając o sobie żałowała jego. Całą noc marzyła o ich wspólnéj trosce! Ile on cierpień będzie musiał przechodzić!....

Daleko od niéj, w odległym kraju pod zabójczym klimatem, pośród niebezpieczeństw, szukając śmierci może. Rano po kilku godzinach niespokojnego snu, odebrała list od niego. „Przebaczysz mi pani, mówił, będęż mógł cię zobaczyć?“ Zrozumiała, że również jak ona czuwał noc całą i tak samo rozpaczał. Cała oddana myśli pocieszenia go odpisała:

„Pan mnie kochasz i ja ciebie, ciężkie zmartwienie nas przyciska. Serca jak nasze, zdołają znosić przykrość losu. . . . Przyjdź pan. . . .“

Regina oniemiała, usłyszawszy z ust Aurory prawdę co do dziwnéj tajemnicy Jakóba. Skoro przybył do pawilonu, zostawiła ich samych.

Aurora pierwsza zaczęła:

— Odwagi przyjacielu, rzekła podając mu rękę, musimy być silni. Poddajmy się . . . . .

Poważnym i wzruszonym głosem przysięgła mu zostać wierną swéj miłości. I powtórzyli za tylu innemi, ten szlachetny zamiar hochanków, których idealna miłość sądzi panować nad skrupułami ludzkich słabości. Rozdzieleni będą się kochać, mogąc sobie to mówić bez zarozumienia się, zawsze godni siebie. Złączając swe serca w wyższych sferach, jak padół naszych ziemskich nędz

Następne dnie sprowadziły w końcu uspokojenie w tem okrutnem doświadczeniu. Zrezygnowani na duchowe rozkosze, kłamiąc swoim żalom; oddawali się słodkiéj exaltacyi duchowego przywiązania. Aby napawać się przynajmniéj tem smutnem szczęściem, Jakób zdecydował się odroczyć podróż swą do Afryki. Wzmocniony nową miłością, znalazł napowrót swoją energią. Pewni tego

czego chcieli, dumni swoją ofiarą, mieli wzajemnie wspierać się w życiu, zatrzymując przeświadczenie szlachetnie wypełnionego obowiązku.

VI.

Pozornie nie było żadnéj zmiany w sposobie życia w Roc. Pewnego wieczoru po obiedzie dziwiono się opóźnieniu Jakóba. Aurora źle ukrywała niepokój. Gdybyśmy też tak zaszli go niespodzianie? zawołał baron. Przeszli park i bez ceremonii wszedłszy do ogrodu samotnika, przez małe łączące drzwi, których nie zamykano, ujrzeli Jakóba idącego wolno z jakimś nieznajomym. Z podobieństwa do niego, poznali jego ojca. Na peronie pod werendą siedziały trzy kobiety. Na widok nadchodzących gości, Jakób zadrżał nieznacznie. Jednakże pospieszył ku nim z uśmiechem. — Ojcze rzekł: pani Berthoret nasza dziedziczka, była już tak łaskawą zasięgnąć wiadomości o tobie, nie jesteś więc obcym dla niéj.

— Dzięki synowi pana, odpowiedziała Regina, wiem jakiem to dla mnie dobrodziejstwem jest jego sąsiedztwo. A teraz przedstawiam panu moich przyjaciół, mam nadzieję że zostaną także i pana przyjaciółmi: pani hrabina de Ploëven moja bratowa, pan baron de Rioux. Pan de Trévannes ukłonił się z serdeczną prostotą.

— Pozwól mnie pani teraz przedstawić sobie nawzajem członków mojéj rodziny, którzy naprzód już wdzięczni ci są za okazywany im współudział: — Pani Grandmetz, mówił przedstawiając daléj, panna Urszula de Peraz, moja siostrzenica; pani Genowefa de Trévannes.

Na dźwięk tego nazwiska, zachwiała się Aurora. Piękna, dumna, lekceważąca, w ubraniu podróżnem z płótna przerabianego haftem i ogarnirowanego koronkami, z długą chińską szarfą zarzuconą niedbale na ramiona, Genowefa de Trévannes zrobiła ruch na kształt ukłonu. Na grzeczności Genowefy de Trévannes, Aurora odpowiedziała niezrozumiale jakimś komplementem. Opanowała ją okropna myśl, że nastąpiło pojednanie. Pani Grandmetz była obrazem jednéj z tych starych kobiet, których pretensye rosną z wiekiem. Podczas kiedy Regina rozprawiała o modzie z panią de Trévannes, Urszula pociągnięta sympatją zajęła się Aurorą, jakby przeczuwała odbicie swéj otwartéj natury w poważnéj Bretonce. Po półgodzinnéj gawędce pani Berthoret powstała. Urszula podała rękę pani de Ploëven.

— Chętnie ulegam pierwszemu wrażeniu, rzekła kocham panią, chcesz być moją przyjaciółką? Pan de Trévannes podał rękę dziedziczce zamku Roc. Jakób mocno wzruszony postępował obok Aurory.

— Nie miałem czasu uwiadomić panią; . . . . . rzekł cicho.

— Nie powinieneś pan był nigdy widzieć téj kobiety, rzekła.

— Błagam panią, pozwól mi mówić z sobą. Za godzinę w pawilonie, proszę o to.

— Będę tam, odpowiedziała.

Po powrocie do domu Aurora powołując się na chorobę, odeszła.

Regina chciała iść za nią. — Nie, nie chodź rzekła, chcę być samą.

Kiedy przyszła do siebie silna reakcya wstrząsnęła jéj wolą i nerwami. Padła na kolana, przy łóżku i wybuchnęła głośnym płaczem.

Dotąd łudziła się marzeniem miłości wyższéj nad marności świata, jego słabości i namiętności, sięgając wzniosłością swéj wyobraźni. Jakób miał żonę, a w urojeniu kochanki powiedziała sobie, że już nic z tego znienawidzonego związku dla niego nie istnieje. Co ją obchodziło w jakimś tam zakątku świata istnienie téj nieznajoméj, noszącéj tylko jego nazwisko, téj kobiety, któréj nigdy znać nie będzie? Ale obecność pani de Trévannes w zamku Roc, sprowadziła ją gwałtownie do rzeczywistości. A więc ta kobieta rości sobie jeszcze prawa do niego, skoro przyjechała? Myślała z goryczą, że Genowefa także musiała być kochaną. . . . . Dręczona temi myślami pozostawała w odrętwieniu. Nagle przypomniała sobie, że ją Jakób oczekiwał. Po co ta ostatnia rozmowa? — Czyż wszystko między niemi nie zostało zniweczonem?

Zdecydowała się napisać do niego, usiadła przy biórku i kilka słów drżącą nakreśliła ręką. — Nagle zdawało jéj się, że go widzi przechodzącego przez park równie jak ona sama zmartwionego. — Rzuciła pióro i zarzucając okrycie zeszła szybko na dół.

Ciemno było w parku, tylko jasne punkta błyszczały w wyłomach drzew, ale chodniki ocienione drzewami wydawały się tem czarniejsze. Szła przyspieszonym krokiem przyciskając piersi, aby przytłumić bicie serca. U drzwi pawilonu zatrzymała się, zdawało jéj się, że słyszy szelest w krzakach. Miałażby być śledzoną? Sądziła się być bliską omdlenia . . . . Stanęła, drząc z obawy; wreszcie, gotowa odważyć się na wszystko, byle nie wyrzec się tego ostatniego widzenia, weszła. Księżyc oświecał pawilon. Ostatkiem sił goniąc, upadła na kanapkę i rozpatrywała się w około. Ile wspomnień w tem miejscu, gdzie upłynęły najpiękniejsze jéj godziny! Drżąc na wspomnienie przeszłości pełnéj jego, zapytywała się czy to wszystko było prawdą. Ona, Aurora, kochała męża innéj kobiety. I ta kobieta była tam, w domu Jakóba. I pod jéj okiem zgodziła się na tę schadzkę, w nocy . . . . Czekała, przestraszona niepokojem, zdziwiona samą sobą. Jakże on się opóźniał! Trwoga opanowała ją; gdyby też nie przyszedł? — Słuchała przez otwarte okno, drżąc za najmniejszem poruszeniem listka. Sowa zahuczała posępnie jakby wróżka złowroga. Cała się wstrząsnęła — W téj chwili drzwi się otworzyły. Jakób stał na progu. Upadając ze wzruszenia, prawie na wpół szalona, rzuciła się w jego objęcia.

— To pan! zawołała.

Musiał ją podtrzymać na wpół omdlewającą.

— Boże, co pani jest? zapytał.

— Ach, szepnęła, z głową opartą na jego ramieniu, myślałam, że cię już nie zobaczę.

— Auroro, odparł czule ująwszy jéj rękę, mogłaś wątpić o mnie?

— Przepraszam cię, przepraszam! ale kiedy jesteś tu Jakóbie, wszystko minęło! Patrz, oto oddycham i patrzę na ciebie.

— Tak, twojemi dużemi załzawionemi oczyma. Szalona, szalona, gdzie się podziało to wielkie do naszéj miłości zaufanie?

— Nie łaj mnie, tyle cierpiałam! patrz, to minęło! . . . (Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor Tadeusz Kamieński w Poznaniu. — Nakładem i drukiem N. Kamieńskiego i Sp. w Poznaniu.